

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 49. Poznań, dnia 3 Grudnia 1870. Rok II

Do Czytelników naszych.

Kiedy przed dwoma laty powstała myśl rozpoczęcia wydawnictwa Sobótki, odezwaliśmy się do Publiczności z żądaniem jéj poparcia, obiecując z naszéj strony nieszczędzić ani starania ani kosztów, ażeby zaufaniu w nas położonemu godnie odpowiedzieć. Dwa lata wydawnictwa przekonały nas, że Publiczność czuje potrzebę wypełnienia tych luk życia duchowego, którym zadosyćuczynienie za cel sobie położyła Sobótka. Nieśmiemy twierdzić, że cel ten w zupełności przez nas osiągniętym został — sami najlepiéj widzimy ujemne strony pisma naszego, ale trudności z jakiemi ono spotkać się musiało, niech nas w oczach Czytelników usprawiedliwią. Brak literackiéj i artystycznéj pomocy na miejscu, ztąd konieczność wspomagania się pracami, które nie zawsze z interesem miejscowych czytelników bezpośrednio wiązały się, w końcu zbyt niska cena, przy ograniczonéj liczbie prenumeratorów, były głównemi przeszkodami rozwoju Sobótki. Ale im większe trudności spotykamy, tem więcéj nas to przekonywa, że w zadaniu naszém ustawać niepowinniśmy — i dla tego silni przekonaniem i wiarą w żywsze poczucie potrzeby pokarmu duchowego w kraju naszym, postanowiliśmy z początkiem Nowego Roku Sobótkę rozszerzyć i tak część jéj literacką, jak artystyczną ulepszyć. W tym celu zawiązaliśmy stósunki z najpierwszemi siłami literackiemi naszego kraju, jak: J. I. Kraszewskiego, Libelta, Odyńca, Sabowskiego, Wojcickiego, Zacharjasiewicza i innych. — Przyrzeczenie pomocy otrzymaliśmy i już dziś nawet w tece znaczny zapas materyału posiadamy.

Pierwsze numery Nowego Roku zawierać będą powieść współczesną J. I. Kraszewskiego, Nowellę Wołodego Skiby i Józefa Narzymskiego, Opowiadania o naszych zwyczajach K. W. Wojcickiego, Opis Warszawy pod tytułem „Warszawa dziś i wczoraj“ tegoż autora, Poezye i Podróże artystyczno-literackie A. E. Odyńca, Rozprawę „O powieści i jéj znaczeniu w literaturze“ Bolesławity, Podróże I. Gordona itd.

Prócz tego stale, raz w miesiąc zamieszczać będziemy: Przegląd ruchu literacko artystycznego pióra Bolesławity, Kronikę miejską i prowincyonalną, Recenzye teatralne i Przegląd bibliograficzny.

Nadto winniśmy dodać, że baczni na zewnętrzną stronę Sobótki, urządzamy dla niéj zakład drzeworytniczy, którego artystyczny kierunek obejmuje p. Baranowski. Nie wątpimy, że odtąd ryciny tak pod względem wykonania, jako i ich treści zadowolnią Czytelników naszych. Przede-

wszystkiém starać się będziemy, ażeby ryciny w Sobótce zamieszczane, stanowić mogły pewnego rodzaju album Wielkopolskie, zawierające obrazy zabytków historycznych, architektonicznych i miejscowych zwyczajów narodu.

Nakładcy nie szczędzą kosztów, redakcya zachodów, aby pismo, które w ciągu 2 lat zyskało 4,000 prenumeratorów, odpowiedziało w zupełności potrzebom i wymaganiu ogółu. To też celem przeprowadzenia wszystkich tych reform zmieniamy format i odtąd „Sobótka“ wychodzić będzie półtora arkusza druku tygodniowo. —

Mimo powiększenia formatu, mimo ulepszeń zewnętrznych i wewnętrznych, ceny nie podwyższamy w nadziei, iż każdy z Czytelników Sobótki poprze nasze usiłowania i przynajmniéj jednego lub dwóch nowych pozyska prenumeratorów. Prenumerata kwartalnie tylko 15 sgr. — przyjmują wszystkie kr. pr. urz. pocztowe i księgarnie, w Galicyi 1 fl. 15 (z przesyłką 1 fl. 40).

Nakładcy i Redakcya Sobótki.

Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Ciąg dalszy).

— A to ty! kochany Stasiu — mam do ciebie bardzo ważny interes — mówił Piotr — szukając koło siebie jakiéjś rzeczy. A! jest — mam tu coś przepysznego dla ciebie. Mówiąc to tulił róg podartéj koszuli do piersi; było w niéj coś zawinięte, ale poznać nie było można.

— Co tam mój interes — rzekł Staś — to mniejsza; powiedz mi wprzódy, zkąd się tu bierzesz o tym czasie, i co znaczą te rany na twojéj piersi.

— O! to krótka historya. Szyldwach stał pod oknem. W oknie była krata. Ja kratę wyłamałem i na szyldwacha hoc — i za karabin. Szamotaliśmy się trochę — tu mię skaleczył on, a ja jemu bagnet schowałem cały w serce. I daléj przez mur — powalałem sobie ręce — alem cały: i nikt nie wie, gdzie jestem. Tyś mię uratował, ale nie bój się. Ja jutro rano porzucam to niewdzięczne miasto, które mi się dało we znaki. Dobrze robisz, że z ludźmi nie żyjesz.

— Toś ty siedział w kryminale.

— Nie! w więzieniu śledczém dopiero. Najniewinniejsi tam siedzą lata.

— I za cóż? —

— A za cóżby? Szelmy — mój żart wzięli za prawdę. Ja się bawiłem rysunkami pieniędzy, a oni mię posądzają o fałszowanie banknotów.

— Piotrze! Piotrze! co się z ciebie zrobiło.

— Éj cicho ta o tém! — Oto teraz, skoro tu nie ma nikogo — a nie ma?

— Nie — nie ma nikogo.

— Muszę ci powiedzieć przepyszny interes. Obaj możemy być uszczęśliwieni. Gienialny plan urodził się w méj głowie podczas więzienia śledczego. Siedziałem z poczciwym Antonim — pamiętasz tym dżokejem, co to po angielsku mówił.

— Zawiskim?

— Tak — tak; on się teraz inaczéj nazywa. Padło na niego podejrzenie najniesłuszniejsze o fałszowanie kart. —

— A! to był szuler.

— A tak — dla tego téż mają go w podejrzeniu. A on niewinny zupełnie. On tedy dał mi w upominku flaszeczkę z kroplami, które mają władzę usuwać z tego świata ludzi, zawadzających nam. Rozumiesz?

— Truciznę?! zawołał Staś z szczerém przerażeniem.

— Ale któż tak ordynarnych wyrazów używa. Nazywają się krople i kwita. A czy ja wiem, czy to trucizna czy nie... Otóż więc urodził mi się w głowie plan gienialny. Ty biedaku cierpisz lat tyle — masz dowód, żem nie zapomniał o tobie i w więzieniu — te krople mogą cię uszczęśliwić.

— Jakto? mam sobie życie odebrać! —

— Aj — aj! szalony waryacie — widać żeś nie powąchał świata z naszéj strony. Tu chodzi o to, abyś ty był szczęśliwy. Usunąć tego, kto ci zawadza.

— Otruć?!...

— Ależ po co tego wyrazu używasz? Usunąć — uśpić nareszcie, jeżeli chcesz koniecznie mówić dobitnie.

— Ależ to zbrodnia!

— Dla głupich — ale dla nas, to jedyny ratunek. Ile mi dasz, to ja się dziś jeszcze z tém uwinę? —

— Piotrze! nie mów tak do mnie — bo nie będę zważał na twoją nędzę i rany, i wyrzucę cię za drzwi — pod płot.

— Ho ho! jakiś dumny. Ale rozważ tylko, co czynisz.

— Łotrowskich słów słuchać nie mogę. Zamilcz i więcéj mi o tém nie gadaj.

— Ale Stasiu — Stasieńku! Sama kuzynka wdzię-

czna ci będzie za to, bo jéj życie pewno już musi być nie miłe

— Milcz zbrodniarzu! zakrzyczał donośnym głosem Stanisław, w którego piersi zawrzała krew gniewem sprawiedliwego, przeciw łajdackim podszeptom pokusy.

— Czekaj — czekaj aż ci kamienicę spalą.

— Niech spalą nikczemniku! bylem się ja nie potrzebował palić od wstydu przed sobą samym.

— Myślałem że lata próby zahartowały cię już trochę; aleś ty dziecko jeszcze, jak widzę.

— Powtarzam zamilcz! i leż tam dopóki cię nie wyrzucę. —

— Za twoje myto, kijem cię zbito — szepnął na to trochę zbity z toru niegodziwiec. Taka to dzisiaj przyjaźń między ludźmi.

Stanisław nie słyszał już tych słów. Wyszedł on bowiem z swojéj izby, i rozważając podłe podszepty nikczemnéj pokusy Piotra — z dawna już nie modląc się szczerze, zwrócił oczy ku niebu — i łzą, która w nich zabłysła, przemówił do Boga najszczerszą serca modlitwą. —

— Boże! zawołał po chwili — byłem szalonym i waryatem — nadzieja łatwego szczęścia zaślepiła mi wzrok na prawdę życia; i porzuciłem drogę pracy — błądziłem i grzeszyłem przeciw Tobie. — Ale o Boże drogi mój!... Jam nigdy myślą zbrodniczą nie pokalał mego sumienia — i Ty mię dla tego ocalisz! Ty mi sam oddasz w ręce to — co mi jest przeznaczoném. Ja zbrodniarzem zostać nie umiem.

Piękne uczucia zaczęły się rodzić w sercu nieszczęśliwego dziwaka, ale nieszczęście chciało, że myśl o owym zaklętym prawdziwie legacie, musiała je zbrudzić nareszcie. Widok zbrodni — i poczucie swéj moralnéj wyższości nad nią — natchnęły go do modlitwy. Ale czemuż ta modlitwa skończyć się musiała rachubą i nadzieją téj kamienicy. Stanisław miłując Boga i wielbiąc Jego dobroć — widział całą Jego opatrzność nad sobą w tém, że mu da oczekiwany legat do ręki. Słowo ocalisz znaczyło: wprowadzisz do kamienicy! — Szkoda, że taka piękna i bogata moralnością dusza, zmąciła się tak okropnie brudném materyalizmém ziemi. —

Powróciwszy z przechadzki do domu i ujrzawszy śpiącego Piotra, wstrząsł się na samą myśl projektu przez niego podanego. Widok takiego nędznika sprawiał na nim okropne wrażenie. Radby pozbyć się go jak najprędzéj od siebie, a z drugiéj strony litość i współczucie przyjacielskie nie pozwalały mu opuścić upadłego tak nisko człowieka. Pomyślał wpłynąć na jego poprawę, i zabrał się do przeprowadzenia swego zamiaru od kradzieży poczynając; najprzód mu wykradł flaszeczkę z owym płynem usypiającym. Łatwo mu było ją znaleść. Śpiący zbrodniarz trzymał ją w ręku; ale że sen jego po tak mocném utrudzeniu był nadzwyczaj silnym, roztworzył więc rękę z niewielką trudnością i wydobył flaszeczkę. — Dreszcz oburzenia wstrząsł Stanisławem, gdy uczuł w swoich rękach narzędzie niegodziwéj zbrodni. Patrząc się w czarny płyn zabójczego napoju, myślał jakby go zniszczyć najprędzéj.

— W ogień to wrzucę, mówił do siebie, szukając zapałek i zbierając patyczki do rozniecenia ognia w piecyku Ogień to poźre. Nieśmiertelniejszy jest od człowieka, nie otruje się. — Szatańskim jednak porządkiem logiki, myśl o ogniu naprowadziła mu wspomnienie groźby Piotra. A jak spalą kamienicę?!... Choć ją dostanę, mogę być jeszcze biednym. Nigdy o tém nie pomyślałem. A jednak to być może. Cóżby wtedy dostało się biednemu nędzarzowi. Gruzy i popękane mury. Kuzynka pewno ich dla mnie nie zabezpiecza przed ogniem. — Mogą mię zniszczyć — i zostawić nędzarzem na całe życie. A pocóż mi ten łotr podszepnął tę myśl, któréj dotąd nie znałem. Będę się nią teraz dręczył. A on — dodał ciszéj kuszony coraz mocniéj — przyrzeka mi za jakąś tam nagrodę — usunąć tę, która mi przeszkadza. — Te ktrople?... Tak! tak — brnij łajdaku w kał zbrodni, boś jeszcze tam nie był. Dobrze sobie myślisz panie Stanisławie! Ślicznie — daléj! marsz do ognia — ani chwili wahania. — I to rzekłszy klęczał już przy piecyku, dmuchając na rozpalające się drewienka. Jak to szybko ogień pożera wszystko?!... szepnęła mu jeszcze pokusa — ale on drzącą ręką wrzucił w płomień flaszeczkę, która rozprysła się w kawałki, a otruty ogień zaryczał tylko chwilkę małą z boleści i żył daléj — i palił się daléj. Piotruś w téj chwili się obudził. Najpierwsza jego myśl była zwróconą do flaszeczki. — Gdzie moje krople? — Kto mi je ukradł? Stasiu! oddaj mi moje jedyne utrzymanie.

— Tu jest! rzekł Stanisław z uczuciem szlachetnego zwycięzcy. —

— Spaliłeś! O! szalony — o niedobry człowieku!

— Uratowałem cię tylko od zbrodni, którąbyś może popełnił.

— Spaliłeś własną kamienicę — podpalaczu! Ty popełniłeś zbrodnię.

— Cicho! Czy myślisz, że nie mam nad tobą władzy? Nie szamotaj się tak hardo w téj sieci, w którą się sam złapałeś, jeno bądź kontent, że nie postępuję z tobą tak, jak nakazuje sumienie.

— A z ciebie byłby ksiądz nie lada, jak widzę — ale szczerze ci wyznać muszę, żeś się ze mną wcale niesumiennie i niegościnnie obszedł, okradając mię z całego majątku. To znaczy tyle, jakbyś mi ukradł tysiąc złotych — gdybym ja miał wszystkiego tysiąc.

Ukradłeś mi wszystko. Ach! i oni mi wszystko wykradli. Wszyscy kradną — i kradną! I to się nazywa sprawiedliwość — justitia pełnienie. — A! niech was djabli biorą z waszą sprawiedliwością. To mówiąc, nakrył się płaszczem Grzywy — i za chwilę zasnął. Widzieliśmy, że niezbyt gwałtownie chodziło mu o utracone krople. Czyżby to było już początkiem jego poprawy? Gdzie tam! Bał się Stasia — bo poznał w nim człowieka nie swego autoramentu. — Staś pokusę zwyciężył dość prędko — parę razy jeszcze potém poglądał na piecyk i wspominał sobie o pożarach — wreszcie uspokoił się przekonaniem dobrego uczynku. Piotr bawił u niego dni parę, nie wychodząc nigdzie — i dopiero, gdy się już z raną wygoił zupełnie, ubrany w chłopski strój od Grzywy podarowany, wyszedł pewnego razu niby użyć świeżego powietrza. — i więcéj nie wrócił. Co się z nim stało, nikt potém już nie wiedział. Mówiono, ale kto może bajkom wierzyć, że się bardzo bogato ożenił...

XI.

Nad Dunajcem.

Różne okoliczności wpływają na zmianę usposobień człowieka. I tak jako prawdą jest, że okoliczności tworzą złodziei, prawdą jest także, iż zły człowiek w pewnych okolicznościach nawraca się na drogę cnoty. Nie mam ja tu zamiaru mówić o człowieku złym i zepsutym zupełnie, bo panna Eufemia Ciołkówna, któréj ten rozdział poświęconym zostaje, nie była tak złą ani zepsutą, ile znudzoną i zdziwaczoną trochę. Znamy pannę Eufemię z nieudanéj intrygi w zastawieniu sieci z panną Antoniną na Stasia — wiemy, że była kuzynką pana Filipa, a więc tém samém i naszego bohatera, że lubiła nad wszystko swacić, że była wymowną, i że miała swój własny kapitalik, z którego się skromnie ale przyzwoicie utrzymywała. Otóż teraz powiedzieć musimy o niéj, że się w swém usposobieniu zupełnie zmieniła; że już nie bałamuciła się swatami, że sobie wspomniała nawet o kuzynku Stanisławie, i słysząc o nim dziwy różne, postanowiła zająć się jego losem. Na tę zmianę wpłynęła zaś ta maleńka okoliczność, że panna Eufemia Ciołkówna, po śmierci swéj najbliższéj kuzynki Natalii Ciołkowéj, odziedziczyła śliczną wioskę w Sandeckiém, w uroczéj okolicy Czarnego Dunajca położoną. Wieś ta, nazywająca się Tatrzanką, ceniona była na 150,000 złotych reńskich, i panna Eufemia wchodziła w jéj posiadanie natychmiast. Od chwili więc téj, w któréj się panią wioskową uczuła, zmieniła się do niepoznania. Jakaś łagodność i tkliwość zastąpiła jéj dawne paplarstwo i szorstkość; miłosierdzie stało się najmilszą rozrywką — swaty porzuciła raz na zawsze, i myśląc o zajęciu się wiejskiém gospodarstwem, żadnemi już czczemi sprawami nie zaprzątała swéj głowy. W takiém usposobieniu przyszedł jéj na myśl Stanisław. Słyszała o nim wiele, jak dawniéj pochwał mnóstwo, tak teraz mnóstwo plotek i niedorzeczności. Wiedząc o jego legacie i o zupełnéj niezamożności, postanowiła przekonać się naocznie o tém wszystkiém, i jeżeliby się dało obmyśleć dla Stasia jakieś zatrudnienie w Tatrzance, gdzie jéj właśnie takiego uczciwego pomocnika potrzeba było bardzo. W tym celu odwiedziła pana Filipa, aby się od niego czegoś dowiedzieć.

— A czy ja wiem, co się z tym wisusem robi. Winien mi oto kilka tysięcy — bom stracił je na tym oszuście Blichoniu: a sukcesyi jakoś nie mogę się doczekać takich jak inni.

Éj co tam kuzynek wymawia mi moje szczęście, oto mi powiedz lepiéj kuzynek, gdzie mieszka przynajmniéj Stanisław.

— A to bo wiem; na Zwierzyńcu u chłopa.

— I biedny jest bardzo?

— Nędzarz — kuzynka powiedz — w łachmanach przecie chodzi. Kiedyś o mało nie zabrali go z ulicy, myśląc że chodzi po żebraninie.

— Boże mój drogi!

— A któż mu winien? Czy ja to niechciałem mu dopomódz. Ale cóż — zaświtała mu w głowie jakaś filozofia, ten zapis Ambrożego przewrócił mózg do góry nogami, i postanowił czekać na śmierć Ambrożowéj nic nie robiąc, i doszedł do ostatniéj nędzy. Poczciwe jakieś chłopisko trzyma go na łasce u siebie, a on mu podobno uczy za to dzieci.

— Ależ to chodźmy natychmiast do niego. Kuzynek mi nie odmówi téj łaski.

— Z chęcią, ale spytam się wprzódy, po co pójdziemy?

— Ja go chcę wziąść do Tatrzanki; on jest uczciwy, to wiem, a mnie takiego przyjaciela bardzo będzie potrzeba na wsi.

— Na nic wszystkie zabiegi. Nie przystanie na nie.

— Będziemy go namawiali.

— Próżne usiłowania.

— Ha! to przynajmniéj dopomożemy mu w jego nędzy.

— I tego nie przyjmie.

— Spróbujmy mój kuzynku.

— Ha! ja służę kuzynce za towarzysza.

I poszli. W chacie Grzywy, o któréj pan Filip dobrze wiedział, nie zastali Stasia.

— Nie ma go, łaskawi państwo, ale proszę do jego izby, on tu pewno wróci niezadługo, to państwo zaczekają.

— Powiedzcież mi, poczciwy panie gospodarzu, mówiła panna Eufemia, co téż porabia wasz mieszkaniec po całych dniach?

— Przyznam się państwu, że nie wiem, ale mi się zdaje, że teraz od jakiegoś czasu nic nie robi.

— I z czegóż żyje?

— A! ma tu zawsze zkądś parę groszy, rzekł rumieniąc się Grzywa. Cała żywność Stasia pochodziła z kuchni Grzywy.

— I gdzież chodzi?

— Ej teraz to lata sobie po polu; bo i trochę słaby. Znękał się oto jednym niegodziwcem, co go tu naszedł. I powiem państwu, żem się wtedy o wielkiéj zacności mego mieszkańca przekonał. Grzywa opowiedział cały rozdział poprzedzający o Piotrze, dodając:

— Nie poczytuję sobie za grzech, że mię coś skusiło stanąć tu pod temi drzwiami. Przyznam się także, że stałem tu z kijem, bojąc się o mego poczciwego pana, aby mu ten łotr nie wyrządził jakiéj krzywdy. Ale opłaciła się moja ciekawość. Aż mi łzy w oczach zabłysły, gdym słyszał jak pan Stanisław ze wzgardą djabelskie namowy swego przyjaciela odrzucał.

— O Boże! jakże go pragnę uścisnąć za to! zawołała panna Eufemia wzruszona na prawdę opowiadaniem Grzywy — chciałabym, aby jak najprędzéj powrócił.

— Ale — niechże téż państwo nie wydają mię z sekretu; pan Stanisław gniewałby się na mnie — rzekł Grzywa zbliżając się do okna, i wpatrując pilnie się na drogę prowadzącą od pomnika Kościuszki — mówił: Otóż i idzie. Doczekaliście sią go państwo — idzie — idzie, i nawet dosyć spieszy. Pan Filip i panna Eufemia zbliżyli się do okna, i wtedy ujrzeli okropnie nędznie ubranego człowieka, który był ich kuzynem.

— To nasza wina panie Filipie, żeśmy temu człowiekowi pozwolili dojść do takiego stanu.

— Ja bo nie winienem wcale, rzekł pan Filip, owszém pierwszy z całéj familii zająłem się nim, i starałem się usilnie wyprowadzić go na człowieka. Grzywa tymczasem wyszedł naprzeciw Stanisława, aby go uprze-

dzić o gościach. Stanisław zdziwił się wielce, i nie mógł nawet domyślić się, ktoby była ta pani, co go odwiedza. Z początku nie chciał się im pokazać, ale gdy potém rozważył, że może owi państwo mają do niego jaki ważny interes, i ponieważ w swéj zawziętości do ludzi ostygł był już cokolwiek, i nawet za dobrém jakiém sercem tęsknić zaczynał, mianowicie po poznaniu nikczemnych zasad Piotra — poszedł, zastał znajomych sobie kuzynów, i przywitał się z niemi dość obojętnie. Chwilkę żałował, że przyszedł.

Dalszy ciąg nastąpi.

Zjedzony sztandar.

(Ze wspomnień kampanii 1831):

Pułk piąty piechoty liniowéj odznaczał się szczególną walecznością. W bitwie pod Iganiami, w oczach generała Prądzyńskiego — na bagnetach roztrząsł sławną brygadę Lwów Warneńskich, po jednym tylko wystrzale. —



Teofila Sobieska z synami.

W pułku tym był kapitanem Józef Zieńkiewicz, typ prawdziwego żołnierza polskiego. Średniego wzrostu, silnie zbudowany: w charakterze dziwnie łagodny, flegmatyk, rzadko wybuchał gniewem, ale każdy taki wybuch był straszny, jak rozgrzanego lwa napaścią. Mocny brunet, przy cerze śniadéj, miał duże i wydatne oczy czarne, które się ogniem życia paliły. Zawołany palacz, ćmił fajkę po całych dniach a w nocy, wtedy tylko nie palił, kiedy spał.

Za czasów Księstwa Warszawskiego służył w Legii Nadwiślańskiéj: przy organizacyi nowéj armii Królestwa Kongresowego, wszedł jako podporucznik do piątego pułku piechoty liniowéj, — w nim awansował — i zostawał aż do wybuchu powstania 1830 r.

Był tak szczęśliwy, że odbywając wszystkie prawie kampanie za Napoleona Wielkiego do r. 1813, nigdy ani zadraśnięty kulą nie został.

Wiarusy piątego pułku zwali go czarnym kapitanem i uważali za czarownika, bo zawsze na polu bitwy gdy grzmią działa, i gęsto armatnie kule i granaty w rekoszetach idą, Zienkiewicz nie wypuszczając z ust fajki, zwykł każdą dojrzaną żegnać krzyżem świętym, dodając:

— A idźże piekielne jabłuszko czarne na złamanie karku! a nie tykaj poczciwéj katolickiéj duszy!

I kule same (jak wiarusy utrzymywali) tym sposobem zażegnane, zaraz się z drogi zawracały, nietknąwszy go nigdy. —

Awansowany na majora, objął dowództwo batalionu

piechoty z samych Litwinów złożonego i dzielnie mu przywodził. —

Po poddaniu Warszawy, w cofaniu, w marszu nad rzeczką naparty był przez brygadę rosyjską. Obsadziwszy most jedną kampanią strzelców, z trzema rozwinąwszy się, tak celnie prażył nieprzyjaciół, że zmusił ich do odwrotu, lubo i sam poniósł niemałe straty, gdy mu przyszło chwilowo wytrzymywać ogień kartaczowy z dział, dopóki go nie zgasił, wystrzelawszy wszystkich kanonierów nieprzyjacielskich. —

Najwięcéj troszczył się o swój sztandar i strzegł go też jak oka w głowie.

Zbliżaliśmy się od strony Brodnicy (Strasburga) ku granicy pruskiéj pod wodzą generała Rybińskiego. Z ostatniego noclegu we wsi Szczutkowo ruszyliśmy z porankiem. — Widać że już o tym wiedzieli Rosyanie, bo z lasów dalekich zaczęły się ukazywać gęste kolumny ich piechoty i jazdy z liczną artyleryą.

Przechodzimy fatalny pas suchéj granicy i stajemy na ziemi pruskiéj! —

Muzyka pruska zaczęła grać pieśń „Boże ocal króla“, piechota nasza składała broń w kozły, zawieszając na nich ładownice, i odstępowała kompaniami. — Patrzę siedząc na koniu, jakiś batalion stoi kołem obszernym, a ze środka sztandar powiewa; podjeżdżam szybko — i poznaję ukochanego majora Zienkiewicza, dowódzcę tego batalionu, który ujrzawszy mnie przybiegł, a drżąc na całym ciele, objął nogę moją w strzemionie, oparł o nią głowę, i zaryczał serdecznym płaczem. — Słyszę jeszcze ten jęk serdeczny starego żołnierza. —

— Na to mi przyszło, zaczął mówić łkającym głosem, uspokoiwszy się nieco, ażebym po tylu latach, tu jak tchórz ostatni broń złożył z mundurem moim! —

Wiatr powionął chorągwią. Odskoczył odemnie nagle, a wbiegłszy w środek batalionu stanął przy chorążym blady i drżący.

— Wiara moja kochana! Czyż oddamy nasz sztandar — albo niemcom - albo nieprzyjacielowi, ten sztandar, który przez całą kampanię trzymaliśmy tak wysoko? —

— Nie! nie! odezwało się wiele głosów. —

— A cóż z nim zrobimy? spyta młody chorąży, jak go ukryjemy panie majorze? —

— Co zrobimy! krzyknął Zieńkiewicz w największym zapale. Zjemy! —

Na to słowo osłupiał batalion — ale on rzekł zaraz:

— Chorąży, odedrzéj chorągiew z drzewca, a wy wiara niech każdy pysk dobrze roździawi, po kawałku go udzielę, jako komunikant żołnierski, i ocalemy nasz sztandar. —

Kiedy chorąży spełnił dany rozkaz, Zieńkiewicz z jego pomocą i oficerów zaczęli drzeć na drobne szmaty, a następnie na drobniejsze kawałki: major obchodził kompanię, i po chwili sztandar był zjedzony: drzewce pozostałe połamano i rzucono na pobliskie ognisko, na którym zgorzały. —

— Ognisko to otoczył cały batalion, i patrzył smutnie z załzawionymi oczyma jak niknie w płomieniach część drogiéj rycerskiéj relikwii. —

Major Zienkiewicz stał spokojnie z założonymi rękoma, z wybladłym obliczem po którém łzy jak groch spadały. —

Mało mi serce z bólu nie pękło: zwróciłem konia, i ruszyłem ku granicy, gdzie huk dział zapowiadał ostatnią bitwę. -

Było to dnia 4 października 1831 r. -

K. Wł. Wojcicki.

Wspomnienia starego szlachcica

Mnożysława Przekory.

(Obrazek społeczny).

Za życia mojego jużci ja potrafię ustrzedz od ciekawości ludzkiéj te moje wspomnienia, ale po śmierci? — Oh to nie w mojéj mocy, zwłaszcza jeżeli śmierć uderzy od czoła, niepozwalając ściągnąć ręki do rozpalonego ognia na kominku. Żeby więc na ten przypadek nazwisko moje nie wywołało sporów, zdaje mi się nie od rzeczy będzie napomknąć o mojéj genealogii. Pamiętam bowiem że trzydzieści sześć, a może siedm lat temu, w roku w którym niesłychana miotła zaległa pszenicę a tatarki zupełnie chybiły, właśnie jakoś na przednówku, gdy kończono sianozbiór, pojawiła się gdzieś tam w krzemienieckiéj kancelaryi jakaś oryginalna o oryginalności rozprawa, przez nieznanego podówczas autora napisana, który przecież nie wstydził się wymienić swojego nazwiska. Jeden z uczonych warszawskich literatów, spojrzawszy na tytuł, (boć uczeni literaci nie potrzebują czytać dzieła, by je osądzić) — otóż więc z samego tytułu, a był zaprawdę szumny, posądził innego uczonego o autorstwo, podpis mieniąc zmyślonym. Jakże ów biedny rzeczywisty autor utyskiwał na to sponiewieranie swojego nazwiska, a bardziéj podobno na odmówienie sobie tym sposobem rozumu, o który z natury rzeczy tém bardziéj się każdy upomina, im mniéj do niego ma prawa.

Nie bojęć ja się wprawdzie aby miało komuś wpaść do głowy drukować te moje wspomnienia; tém mniéj aby się miał zdarzyć jaki uczony coby mi zaprzeczył mojego nazwiska; bo najprzód dzięki Bogu nie trzeba się lękać tak prędkiego pojawienia się uczonych, a powtóre o rozum wkrótce nikt dbać nie będzie, bo geniusze coraz więcéj w modę wchodzą i podobno niedługo rozsądek wyrugują. Niechcąc wszakże aby i ktoś z genialnych ludzi wykrzywiał się nad mojém imieniem narodowém, powiem z góry kto jestem i jaka moja rodzina, a jest przecie czém się pochlubić.

Najprzód dobrze i to dla pamięci zapisać: matka moja, jako dobra katoliczka, chciała aby mi dano imię patrona w którego uroczystość przyszedłem na świat, to jest Pankracyusza, ale nie tego co Fryderykowi II cytryny i pomarańcze zmroził; mojego patrona święto przypada dnia 3 kwietnia. Ojciec dawniéj był za tym chwalebnym zwyczajem; wtedy, niewiem co mu się stało, koniecznie obstawał za sławiańskiém imieniem, a choć podówczas nie było ich jeszcze w naszych kalendarzach, jednak szczęśliwie natrafił na imię Mnożysława. Czy mu się podobało mnożenie, czy tylko sława, czy może z przeczucia był Sławianofilem, tego wcale niewiem: dość że się tak uparł przy tém imieniu, że choć ksiądz proboszcz, którego wielce poważał, przekładał mu, iż takiego świętego niema w całém martyrologium, on przecież nie ustąpił, póki go proboszcz choć na drugiém miejscu w metryce nie zapisał, bo

podobno przy ceremonii chrztu świętego wcale go nie wymówił.

Cóżkolwiekbądź, zawiódł się srodze ojciec mój w widokach względem mnie; bo mnożenie mi się nie powiodło, a sławie i tak ledwie trąba nie pękła przy roztrąbywaniu mnóstwa wysokich naszych talentów. Chociaż więc nie byłem paniczem, zrobiłem jednak tak jak nasi panicze, nadąłem się sławą przodków i żyłem wygodnie z tego, co ojciec przymnożył

Jakaż to sława tych przodków? ozwie się niejeden. Przekora! o takiéj rodzinie nikt nie słyszał. Niesiecki, co to wiele rodzin odgrzebał o których się Paprockiemu ani marzyło, przecież o Przekorach ani bąknął. I cóż ztąd? to tylko dowodzi, że ci szanowni autorowie nie znali mojéj rodziny, ale nie zaprzecza jéj bytności, bo przecie ja żyję i z dziada pradziada nazywam się Przekora. Żałuję żem się nie urodził spółczesnym Niesieckiego, byłbym mu oczy wykłuł mo emi dokumentami; teraz niemam innego sposobu tylko naprawić jego nieświadomość.

Otóż najprzód mam najstarszy dyplom w większéj połowie przez myszy zgryziony, a to dowód niemylny, że jeszcze przed królem Popielem wydany. Ja na nim wprawdzie ani litery dojrzeć nie mogę, ale sławny jeden palestrant z Osieku, jeszcze za nieboszczyka mojego pra-pra-dziada, wyczytał Scepan Pssekorra i wniósł, że to jest jakieś nadanie obszernych włości przez pierwszego naszego króla Lecha I musi to być niezawodnie, boćby wówczas czego innego na pargaminie nie pisali.

Mam następnie dowód, że Śmieszko Przekora był pachołkiem Piasta i on to właśnie wyrabiał ten miód, którym tak hojnie dynasta sławnych królów naszych częstował i rozweselał panów w Kruszwicy. Że zaś miód ów w czołnie z za Gopła przywoził, dla tego uzyskał łódź za herb. Od tego czasu idzie szereg nieprzerwany moich antenatów wysokie godności piastujących i w różnych powołaniach sławnych; o niektórych wspomnieć muszę:

Za Bolesława W. Junak Przekora głównie się gdzieś tam przyczynił do zwycięztwa, i dla tego tém imieniem zaszczycony. Obowiązkiem jego było prowadzić za obozem podwodne konie; kiedy więc żołnierze z przeciwnych sobie brzegów rzeki swarzyć się zaczęli, on spostrzegł że się na bójkę zanosi: chociaż więc śmiały i waleczny, przecież o powierzone sobie rumaki troskliwy, zmykał czemprędzéj, a spotkawszy króla, podał mu konia, bez czego Bolesław nie byłby zyskał przydomku Chrobrego, a on podkowy w herbie.

Pod Płowcami, gdzie Władysław, choć małego wzrostu, lecz wielkiéj głowy i mężnego serca, niepospolitego wojaka zyskał sławę, Wściborz Przekora siadającemu na koń królowi nadstawił swojego grzbietu, bo masztalerz ze stołeczkiem gdzieś się zawieruszył. Tym sposobem zwycięztwo jemu się właściwie należy.

Na zjeździe Wiślickim, gdy król Kazimierz ogłaszał nową ustawę, Niemyśl Przekora trzymał kałamarz i pióro. Do czego? nie wiem, i on zapewne nie wiedział, ale to dowodzi, że należał do ciała prawodawczego.

W epoce złotéj literatury naszéj, za Zygmunta Augusta, Świetlik Przekora był naczelnikiem pałacowego oświetlenia. Niech będzie jak chce, zawsze miał związek ze światłem.

I literatów w mojéj rodzinie nie brakło. Jeden z Przekorów z wielkim trudem i mozołem połatał urywki z różnych dzieł i zdań, i skleił ważne dzieło historyi literatury. Dzisiejsze Kondratowicza, Wiszniewskiego, to fraszka obok niego: ale cóż, ówczasowi księgarze nie tak dbali o oświatę jak dzisiejsi, kupić rękopismu za marny nawet grosz nie chcieli, swoich zaś pieniędzy marnować nie mógł, bo mu ledwie na węgrzyna i na psiarnią starczyło. Zresztą nie było podówczas litografii, żeby choć wizerunkiem potomności przekazanym mile wynagrodziła przykre trudy.

Dziad mój wysokie także zajmował miejsce w rzędzie ludzi oświeconych, czego dowodem jest sowa w herbie jego umieszczona, co i ja zatrzymałem. Nie był on wprawdzie ani mówcą, ani poetą, ani historykiem, ani geometrą, ani chemikiem, ale był bardzo uczonym. Spisał, czyli ściśléj mówiąc, kazał przepisać mnóstwo powiastek, które już podeszła w wieku kobiecina piastunka ś. p. starszéj siostrze mojéj przy kolebce prawiła. Mam ten rękopism gotowy do druku, nawet ozdobiony popiersiem autorki, które miało być na blasze ryte, in perpetuam rei memoriam, bo nieboszczyk ojciec mój był wielki skrupulat, powtarzał zawsze: suum cuique.

To krótkie napomknienie pokaże światu, czém to była rodzina Przekorów; a cóż dopiero gdybym wszystko wielosłownie wypisał, dopiero byłoby co czytać! niejedenby pożałował, że o tak sławnéj rodzinie nic nie słys ał

Co do mnie, już powiedziałem, żem bogini sławy wcale ni trudził, czy że zdolności brakło, czy okoliczności nie sprzyjały, tego sam odgadnąć nie mogę. Uczyłem się w bardzo zalecanych szkołach, nauczyciele mnie wychwalali, mam nawet prawo zwać się mistrzem nauk jakich zechcę. Kiedym był za granicą, ofiarowano mi patent doktorski za błahe trzysta złotych; ale cóż z tego wszystkiego, kiedy mi jakoś w zawodzie literackim wcale się nie powodziło. I tak: nazbierałem z różnych dzieł rozmaitych urywków, przepisałem starannie; licho mnie podkusiło pokazać to przyjacielowi, który mi w oczy powiedział, że to ni w pięć, ni w dziewięć. Stropiłem się więc; aż ktoś inny z tém samém wystąpił i z wielkim moim żalem sławę potężnego literata zyskał. Oho! pomyślałem wtedy, już ja drugi raz dzieła mojego nie pokażę nikomu, póki nie będzie wydrukowane. Jakoż wkrótce napisałem powieść historyczną, zupełnie na wzór Walter Skotta, nawet większą połowę opisów od niego pożyczyłem Bohaterem powieści był Żupan Wilkołak, hetman Popiela II, ale powieść sięgała nawet czasów Leszka Białego. Rzecz nowa, ciekawa, starannie wystudyowana; charaktery osób, widoki miejsc, nawet fizyognomie z natury brane. Cóż się stało? księgarz pochwalił, ramionami ruszył, i nietylko zapłacić, ale nawet drukować swoim kosztem nie chciał. Co gorsza, żarciki sobie ze mnie stroił, kazał mi się starać o przyjaźń wielkich literatów, o względy redaktorów gazet, a skoro ci wykryją we mnie geniusz, wtedy, choćbym głupstwo wierutne napisał, to będzie dobrze przyjęte: boć redaktorowie umieją chwalić kiedy zechcą i co zechcą — Jeszcze gorzéj mi się powiodło z powieścią moralno-obyczajową, pod tytułem Zys Szafraniec. Czytałem ją rozmaitym, nawet bardzo uczonym osobom, wszyscy uwielbiali, kobiety nadewszystko unosiły się nad wyrafinowaną przebiegłością bohaterki powieści, z jaką umiała szlachetnie osłaniać przed mężem swoją cnotę. Jeden tylko ksiądz proboszcz był przeciwnego zdania Coś upatrzył w powieści, i nie wiem na jakiéj zasadzie rzekł: Biada gorszącym! Napróżno wyjaśniałem mu, że są dwa sposoby zaszczepiania moralności, dodatni i ujemny. On mi na to: „Toć ja wiem, mój panie, że ten wiek oświecony we wszystkiém coś nowego wynajduje, albo przynajmniéj niezwykłemi drogami idzie; z tym wszakże ujemnym sposobem, zdaje mi się, jest coś podobnego, jak gdyby kto chcąc młodemu człowiekowi obmierzić pijaństwo, podawał mu w obfitości najponętniejsze wina i likwory. Możeby to i niezły był sposób, gdyby tylko w końcu nie obudził ciekawości do doświadczenia smaku prostéj wódki, jak się zwykle dzieje.“

I cóż powiedzieć na takie dictum acerbum? Nie siląc się na dłuższą rozprawę, powieść nad którą

przez cały tydzień ślęczałem, puściłem na próbę ogniową, któréj nie wytrzymała.

Doświadczywszy tylu zawodów, rzuciłem literaturę i zabrałem się do gospodarstwa, zwłaszcza że ojciec, upadający na siłach, zdawał się potrzebować mojego wyręczenia, bo mi kazał porzucić wszystkie widoki, zatkać uszy na podszepty dumy i wracać do domu. Gdybym się był urodził w dziewiętnastym wieku, potrafiłbym się wykręcić staremu, a przynajmniéj nie byłbym tak skory w wykonaniu jego rozkazu, zwłaszcza że nowe miałem zamiary. Ale znowu fatalność mieć chciała, żem choć kilku chwilami zaczepił ośmnastego wieku; posłuszeństwo i uszanowanie dla ojca przemogło; siadłem natychmiast na wózek, i daléjże w drogę. Byłem w wieku który szynkarz w sąsiedniém miasteczku, wielce od młodych paniczów okolicznych poważany, nazywał pospolicie: ot tak, młody, niemłody. Ojciec przyjął mnie z rozczuleniem i powagą: „Cóż, odezwał się, waści żal zapewne téj kochanéj Warszawy? Wywietrzeje to, skoro się zajmiesz pracą.“ To rzekłszy, zaczął mi pokazywać gospodarstwo, choć ja wolałbym był pierwéj spotkać się ze śniadaniem, do którego spieszyłem, ujechawszy w tym dniu od rana przeszło trzy mile. Gdyśmy już wszystkie zabudowania dworskie w najdrobniejszych szczegółach obejrzeli, przy stósownych objaśnieniach, ojciec, odwracając się nagle, rzekł: „Zobaczno waść która godzina na waści zegarku, jaka też różnica z naszym, jeżeli tylko regularny.“ — „Nie mam zegarka, odpowiedziałém; w Warszawie wcale nie był mi potrzebny, gdyż na każdéj ulicy można widzieć godzinę.“ — „Albož to waść ciągle na ulicy bawił? Próżne wybiegi! powiedz waść lepiéj żeś niedbał o życie porządne. Ja to zawsze powtarzam, że chłopiec w tym wieku, nie mający zegarka, jest prostym marnotrawcą.“ — Trzeba wiedzieć, że ojciec mój nie był ani Franklinem, ani Anglikiem, a jednak wielką wagę przywiązywał do czasu, i dla tego, prócz pokojowych i kieszonkowych zegarków, zaprowadził własnym kosztem wielki zegar na wieży parafialnego kościołka. Może też to robił na przekorę innym dziedzicom, którzyby radzi wytępić wszystkie zegary, a nawet i słońcem rządzić według swojéj woli, czyli raczéj stósownie do potrzeby.

Wtém odezwał się dzwonek kościelny na Anioł pański, a zarazem dał znak obiadowéj godziny. Zaczęli się ludzie schodzić od roboty na posiłek i jaki taki przystąpił dla przywitania pana Mżysława, bo tak mnie pospolicie zwali wieśniacy. Radość ich rozrzewniła mnie, a przekręcone imie smutkiem przejęło: ja spodziewałem się, że sława padać będzie na mnie jak ulewa, a tu uczułem że nawet ani mży.

Skoro czeladź skończyła swoją ucztę i rozeszła się na stanowiska dla chwili wytchnienia, myśmy zajęli miejsce przy stole. A było nas ze wszystkiém sześć osób: z ciotecznych cioteczna siostra ojca mojego, pełniąca obowiązki gospodyni domu, ksiądz wikaryusz, razem nauczyciel dzieci wiejskich, stary rezydent, zastępujący urząd nadzorcy lasów, młody pisarz prowentowy, ojciec i ja. Nie będę opisywał nakrycia stołu, ani potraw, ani służby, bo nic w tém wszystkiém nie było osobliwego; wszystko po staropolsku, począwszy od modlitwy przed obiadem, aż do podziękowania Panu Bogu po obiedzie, co mi się dziwne wydawało, bom tego w Warszawie nie widział.

Przy obiedzie ojciec w te do mnie odezwał się słowa: „Waść, tyle lat spędziwszy w Warszawie, już zapewne nie potrafisz rozróżnić tatarki od prosa, trudno ci więc będzie pojąć te dziwne przewroty jakie się u nas robią w gospodarstwie. Po wszystkich stronach głoszą gospodarstwo poprawne, wyrozumowane, przemysłowe, gospodarstwo pięcio- siedmio- ba nawet aż czternastopolowe; nie wiem zkąd u licha biorą te pola. Ale co najgorsza, mówią że kto po staremu będzie dłużéj gospodarował, to musi umrzeć z głodu. Hola! dreszcz mnie przejmuje: to nie fraszka śmierć z głodu! to coś zdaje się jakby przed śmiercią umierać. Postanowiłem więc zabezpieczyć się od tego głodu; a przytém myślę, że możeby i dobrze było na tych polach zarobić; choćbyśmy tylko podwoili liczbę włók, to i tak już wiosczyny nasze nieźleby wyglądały. Ot moglibyśmy je od biedy nazwać dobrami, choć to już dzisiaj lada folwarczyna tym tytułem się szczyci; bo że dziedzice lada kawałka gruntu każą się tytułować Jaśnie panami, to bardzo sprawiedliwie, gdyż u takich najczęściéj i w głowie i w kieszeni świta. Koniec końców, takie dziwy o tym oświeconym dziewiętnastym wieku prawią, że już i w czary wierzyć poczynam i wstydzę się zaprawdę, żem się dawniéj urodził. Chętka mnie bierze nieraz zaprzeć się ośmnastego wieku; ale na nieszczęście coraz dobitniéj mi się przypomina. Już to ja nie ten, co dawniéj. Bywało niegdyś od rana do wieczora na koniu lub na nogach; teraz jak się konno pojeździ ze cztery z pięć godzin; albo pochodzi od rana do południa, tedy wróciwszy do domu czuję dobrze, że się dziewiąty krzyżyk zbliża. Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Teofila Sobieska z synami.

Rycina przedstawia Teofilę z Daniłowiczów Sobieską przy nagrobku pradziada, uczącą synów Marka i Jana jak żyć i umierać powinni za ojczyznę. Rycina ta jest kopią obrazu Walerego Eljasza, który na wystawie w Krakowie ogólne pochwały zyskał. —

Zagadka.

Czy znasz Istotę, któréj drobne dziatki
Tulą się zgodnie pod skrzydłem swéj matki?
Stoją w szeregach bez tchu i bez życia,
Bez krwi i ciepła i bez serca bicia —
Nieme i martwe, a przecież ich głosy
Wieki przetrwają, sięgają w niebiosy,
Brzmiąc w wszelkich krajach wśród wieków przystani,
Przed ich potęgą drżą ziemscy tyrani.
Znasz tę Istotę? By serce twe zgadło,
Powiem ci: „myśli i mowy zwierciadło!

Rozwiązanie zagadki w Nr. 48: ***Katarakta***).

Korespondencya Redakcyi.

Nie-Bismarkowi w Poznaniu: Dziękujemy! Z samogłoskami za trudny, z spółgłoskami za łatwy. Przez wzgląd jednak na autorkę, zamieścimy. — Panu Z. J. M. autorowi Synogarlicy: Pomimo pokory, o któréj mówią, że niebiosa przebija, zamieścić nie możemy. — Panu Józefowi Krótkiemu w Inowrocławiu: Dowcip nie pański — znajdzie go Pan w zeszłym roczniku Sobótki, z tą tylko różnicą, że ortograficzniéj i loiczniéj napisany. — Panu Z. z Wągrowieckiego: List jest interesujący — w téj chwili jednak korzystać z niego nie możemy. — Od Nowego Roku będziemy umieszczać raz w miesiąc Kronikę miejską i prowincyonalną, wtenczas listy podobne będą bardzo pożądane. —